



Agnieszka Błotnicka, „Czarna Operacja”

Fragment

Prolog

Ciepłe promienie marcowego słońca padały na warszawskie ulice, topiąc resztki śniegu, którego i tak tej zimy było niewiele. Przechodnie, nieliczni jeszcze w sobotnie przedpołudnie, wyczuwając w powietrzu pierwszy oddech wiosny, rozpina-□li płaszcze i zdejmowali szaliki. Kilkuletni szary opel wjechał na plac przy Hotelu Europejskim i zatrzymał się na miejscu parkingowym tuż przy ulicy Ossolińskich. Zgasł silnik i reflektory. Po minucie z samochodu wysiadł mężczyzna po trzydziestce ubrany w szary, wełniany płaszcz. Na głowie miał czarną czapkę, tak popularną wśród roztargnionych pracowników naukowych, przemykających znanym traktem akademickim na Krakowskim Przedmieściu. Mężczyzna, ściskając pod pachą zniszczoną skórzaną teczkę, skręcił w ulicę Ossolińskich i niemal natychmiast znalazł się przy wejściu do eleganckiej restauracji U Kucharzy. Bez namysłu wszedł do środka. Zostawił płaszcz w szatni i od razu skierował do jednej z bocznych sal restauracyjnych, choć w tym królestwie smaku pojęcie „sali” nie było określeniem precyzyjnym.

Spośród warszawskich lokali restaurację U Kucharzy zdecydowanie wyróżniał sposób serwowania potraw. Jej klientów sadzano bezpośrednio w kuchni, aby osobiście mogli uczestniczyć w niezwykłym spektaklu, którego aktorami byli najlepsi kucharze, a tematem sztuki największe przysmaki kuchni polskiej: pieczona szynka, tatar, gołąbki czy tradycyjne pyzy po warszawsku. Dla prawdziwych smakoszy i miłośników dobrej kuchni stanowiło to nie lada gratkę – wdychając aromatyczne opary, mogli jednocześnie podziwiać wirtuozerskie ruchy krzątających się przy blatach kucharzy. Większość gości zajmowała miejsca przy stolikach w głównej części restauracji – wśród garnków, pieców i szalejących kuchcików – ale dla tych, którzy wolili delektować się przysmakami na osobności, przygotowano też kilka osobnych salek. Były to pomieszczenia wyłożone białymi kafelkami, pozbawione ozdób i utrzymane w surowym, kuchennym stylu. Nikomu z gości to nie przeszkadzało. Bogaci klienci – zarówno Polacy, jak i obcokrajowcy – nie szukali bowiem wytwornego wnętrza, interesowały ich tylko i wyłącznie wykwintny smak oraz kulinarna przygoda.

Do jednej z takich salek skierował się mężczyzna ze skórzaną teczką w dłoni. Tęgi siwiejący jegomość siedzący samotnie przy dużym, szerokim stole uśmiechnął się lekko na widok znajomego.

– Marek Szulc, no proszę... A więc jednak się zdecydowałeś.

Nowo przybyły usiadł naprzeciw niego, kładąc skórzaną teczkę na sąsiednim krześle. Ruchy miał spokojne i opanowane.

– Na nic się jeszcze nie zdecydowałem – powiedział i rozejrzał się. – Nie mogłeś znaleźć dyskretniejszego miejsca?

Tęgi mężczyzna roześmiał się, nieznacznym gestem odsyłając jednocześnie nadchodzącego kelnera.

– A to nie ty powiedziałeś kiedyś: „W naszej pracy, jak w żadnej innej, idealnie sprawdza się powiedzenie, że najciemniej jest pod latarnią”?

– W naszej pracy? – zdziwił się Szulc. – W mojej pewnie tak, ale przecież ty uwielbiasz pracować jak kret. Podziemia, tunele, nory...

– Nie przesadzaj... – Jego towarzysz otarł chusteczką pot z czoła. – Najlepsza knajpa, a nie mają klimatyzacji...

– Ale za to jada się tutaj, tak jak lubisz najbardziej: w kuchni.

Tęgi mężczyzna nie zareagował na uszczypliwość. Sięgnął po kartę i przebiegł wzrokiem po menu. Szulc nachylił się nagle do niego i rzekł ściszonego głosem:

– Łazisz po mieście i wypytujesz o mnie, robiąc przy tym strasznie dużo zamieszania. Chcę wiedzieć dlaczego.

Rozmówca zwlekał chwilę z odpowiedzią. Wyglądał tak, jakby nawet nie usłyszał pytania. Z zacięciem wpatrywał się w kartę, jak zwyczajny klient, który przyszedł tu dla rozkoszy podniebienia.

– Ponieważ jesteś najlepszy – odparł w końcu spokojnie i odłożył menu. – Założę się, że przyjechałeś tutaj starym nissanem albo może szarym oplem, w teczce jest jakaś rozprawa naukowa lub zbiór opowiadań, bo oficjalnie robisz za nieszkodliwego idealistę, a twój zimowy płaszcz przetarty jest we wszystkich możliwych miejscach. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że trzymasz na Riwierze luksusowy jacht... Zaraz, czy to nie jest czasem model WallyPower 118?

– Koch, nie kombinuj. Czego ode mnie chcesz?

W pytaniu Szulca zabrzmiała większa stanowczość, jednak nadal bez śladu zdenerwowania.

– Może najpierw coś zjemy? Ten młody kelner nie da nam spokoju.

Agent skinął przyzwalająco głową. Zasada niezwracania na siebie uwagi przede wszystkim; ktoś, kto siedząc w restauracji, niczego nie zamawiał, z pewnością wyglądał dziwnie. Po złożeniu zamówienia u młodego kelnera w kucharskim uniformie, mężczyźni wrócili do rozmowy.

– Jak powiedziałem, jesteś najlepszy – powtórzył z naciskiem Koch. – A ja kogoś takiego potrzebuję.

– Dobrze wiesz, że już nie pracuję.

– Wiem, a jednak spróbuję cię przekonać. Sprawa jest wyjątkowa.

– Wątpię.

Koch zwlekał chwilę z wyjaśnieniami. Splótł dłonie i uważnie wpatrywał się w siedzącego naprzeciw Szulca.

– Wiesz, co to jest *pinctada margaritifera*? – zapytał w końcu i od razu uśmiechnął się pod nosem.

Dobrze wiedział, jaką otrzyma odpowiedź.

– Tak się nazywa małż produkujący czarne perły – odrzekł spokojnie Szulc. – Przyszedłeś zrobić mi egzamin z mięczaków, czy może postanowiłeś na starość zostać jubilerem?

Koch ponownie przetarł czoło chusteczką.

– Nie chodzi o perły. Nie obchodzą mnie paciorki i czarne kulki fluorescencyjne. Chcę ci tylko coś wyjaśnić.

– Mów – zgodził się Szulc.

– Ta perła należy do najdroższych w świecie. Istnieją oczywiście hodowle czarnych pereł, na przykład na Tahiti, ale nie osiągają takich cen, jak te, które powstają w warunkach naturalnych. Naturalna czarna perła to rarytas. Wyobraź sobie teraz, że stajesz się posiadaczem pewnej... – Koch przerwał i się zastanowił. – Powiedzmy... receptury albo inaczej: schematu produkcyjnego naturalnych czarnych pereł... Już nie podrabiasz rzeczywistości, ty ją tworzysz... Tworzysz swoją własną żyłę złota...

– To nierealne.

– W przypadku pereł, być może. Ale chodzi o coś innego. O coś, za co cały świat dałaby się teraz zabić. Z pewnością można by to nazwać czarną perłą technologii.

– Wiesz, że jestem zamożny. Nie szukam pieniędzy.

– Ale lubisz wyzwania. A to jest wielkie wyzwanie. Jeśli zaś chodzi o pieniądze... – Na twarzy Kocha zagościł przewrotny uśmiech. – Nigdy nie ma się ich tyle, żeby nie chcieć więcej, prawda?

– Ile? – spytał spokojnie Szulc.

– Co ile? – nie zrozumiał Koch.

– Ile dostanę za ten schemat.

Na twarzy Kocha pojawił się wyraz rozbawienia. Machinalnie wygładził obrus na stole.

– Jesteś nie tylko najlepszy, ale i konkretny – pochwalił z uznaniem, a następnie wziął głębszy oddech. – Proponuję ci cztery miliony dolarów.

Szulc nawet jednym gestem czy drzeniem powieki nie dał po sobie poznać, że oferta zrobiła na nim jakiekolwiek wrażenie.

– Jest tylko pewien problem – zastrzegł Koch, spoglądając przenikliwie na Szulca. – Nie mamy zbyt wiele czasu, cała akcja musi się odbyć mniej więcej za trzy miesiące.

– W jakim kraju ma być przeprowadzona?

– Mam rozumieć, że się zgadzasz? – upewnił się Koch przed udzieleniem odpowiedzi.

– Jestem człowiekiem do wynajęcia. Ale nie podejmuję się niczego bez poznania szczegółów – wyjaśnił Szulc beznamiętnym tonem.

Koch odchylił się na krześle, splótł dłonie na brzuchu i zmrużył oczy w uśmiechu.

– Pytasz o miejsce akcji... Może wreszcie czymś cię zaskoczę. Ma się odbyć tutaj, w Polsce. Mam nadzieję, że po kilku latach pracy w tym zawodzie wyzbyłeś się już patriotycznych sentymentów?

– Nie mieszkam żadnych sentymentów – rzucił chłodno agent.

Koch nachylił się do Szulca i zniżył głos.

– To dobrze, bo zadanie jest bardzo trudne, i jestem przekonany, że tylko ty mu podołasz.

Szulc był zbyt doświadczonym graczem, aby dać się złapać na tanie pochlebstwo. Uśmiechnął się pod nosem i spojrzał na Kocha z wyższością.

– Daruj sobie słowne sztuczki. „Jesteś najlepszy”, „tylko ty mu podołasz”... Tak kadzić możesz nowicjuszowi, mnie w ten sposób nie przekonasz.

– A jak? – zapytał natychmiast Koch, a w jego głosie zabrzmiała nieoczekiwana twardość.

Wzrok stał się lodowaty, zniknęła gdzieś towarzyskość. Tak, bez wątplenia rumiany i pocziwie wyglądający Koch należał do niebezpiecznych mężczyzn.

– Może już się zgodziłem? Może zgodą było samo przyjsście do tej restauracji? – odparł wymijająco Szulc.

Młody kelner, niosąc zamówione dania, zmierzał właśnie w ich stronę. Na twarzy Kocha ponownie pojawił się jowialny, dobroduszny uśmiech.

– To właśnie chciałem usłyszeć. Szczegóły operacji i wszystkie potrzebne informacje otrzymasz niebawem.

Następnie odsunął się od stołu, pozwalając kelnerowi na ustawienie talerzy z potrawami, i zawołał:

– Co za pyszności! To naprawdę najlepsza restauracja w mieście!

Kelner skłonił się uprzejmie. Koch z zadowoleniem przyglądał się swojemu talerzowi, na którym podano mu królika w wino-śmietanowym sosie, z kluskami kładzionymi i marchewką z imbirem. Ale jego radość nie była związana z apetycznie wyglądającą potrawą. Koch wiedział, co oznaczała zgoda Szulca: perspektywa zdobycia fortuny nagle stawała się realna.

Rozdział I

Na ten dzień trzynastoletni Janek Karski czekał przez cały rok. Nauczyciele z hukiem zamykali dzienniki i z ulgą w głosie ogłaszali koniec roku szkolnego. Stan euforii owej chwili można porównać z radością po opuszczeniu strzeżonej twierdzy więziennej lub ze szczęściem z odzyskanej niepodległości. Tysiące uczniów miało ochotę wybiec z kolorowymi sztandarami na ulice, ogłaszając całemu światu koniec męczarni i zmagania z zawiłą materią wodorotlenków, płazińców, obleńców i lektur obowiązkowych.

Mimo tego radosnego czasu Janek z jakiegoś powodu włókł się do domu ze smętną miną, kopiąc przed sobą kawałek cegły. Tym razem nie chodziło o świadectwo – w ciągu ostatniego roku cudem udało mu się podciągnąć oceny z największych zmór: matematyki oraz przyrody i kilku „podzmór”: geografii, fizyki, chemii i biologii. Nie było więc źle i powrót do domu nie groził wojną. Powód jego markotnego nastroju był zupełnie inny: dla Janka koniec roku szkolnego wcale nie oznaczał początku wakacji. Na drodze do jego wolności i przygody stała bowiem przeprowadzka.

Tylko ktoś, kto przeżył ją choć raz w życiu, mógł zrozumieć aktualny stan duszy chłopca. Od dwóch dni jego mieszkanie przypominało stajnię Augiasza, ziemię po wstrząsach tektonicznych, pole bitwy po przegranej kampanii. Rodzice kupili większe mieszkanie, dotychczasowe zostało sprzedane i w ciągu dwóch tygodni trzeba było dokonać przerzutu wszystkich mebli, książek, ubrań oraz tysiąca drobiazgów z jednego miejsca Warszawy w drugie. Najgorsze były te drobiazgi. Wyłaziły z każdego kąta domu, jak spiskowcy uśpieni do tej pory magicznym zaklęciem. Gdy tylko Katarzyna Karska, mama Janka, uporała się z jedną górą papierzysk, to natychmiast pojawiała się następna, a wystarczyło zacząć porządki na pierwszym lepszym regale, by się przekonać, że skrywa on niespotykaną wprost ilość szpargałów, o których istnieniu nikt z domowników nie miał pojęcia. Pan Karski najchętniej pozbyłby się ich lekką ręką i bez zbędnych sentymentów, ale jego żona stanowczo się temu sprzeciwiała. Od kilku dni pracownicy układała przedmioty w szarych pudłach, przekonując siebie i wszystkich wokół, że na pewno jeszcze do czegoś się przydadzą. Pan Karski, nie chcąc pogarszać i tak już napiętej atmosfery domowej, nie zamierzał dociekać do czego. Tak czy inaczej, w ciągu kilku dni przeprowadzka zamieniła dom Janka w królestwo tektury wypełnionej książkami, porcelaną i „czymś, co może jeszcze kiedyś do czegoś się przyda”. Wakacje musiały poczekać do czasu, aż ten kompletny chaos zostanie w końcu opanowany.

Janek minął antykwariat w Alejach Ujazdowskich. Stąd do domu przy ulicy Mokotowskiej było już niedaleko. Chłopak lubił swoje stare mieszkanie, które – chociaż niewielkie i zlokalizowane w oficynie – miało niepowtarzalny klimat. Wprost z bramy, w której znajdował się niewielki zakład szewski, re-klamujący się zawieszonym przy witrynie butem, wchodziło się na utrzymane w brzoskwiniowym kolorycie podwórko z ładnymi, staroświeckimi lampeczkami umocowanymi przy drzwiach klatek schodowych. Zawieszony na wysokości dwóch metrów but służył często Jankowi do ćwiczeń wyskoków. Jeśli udało mu się do niego doskoczyć i trącić go czubkiem głowy – dzień był udany. Poza tym mieszkanie znajdowało się w idealnym punkcie miasta; w ciągu jednej chwili mógł się znaleźć pod pomnikiem Witosa, gdzie godzinami terkotał z kumplami na deskorolce, w dwie minuty później docierał do parku Ujazdowskiego, a w kilka następnych do kompleksu rekreacyjnego Agrykola, ulubionego miejsca sparingów piłkarskich. Perspektywa opuszczenia przytulnego mieszkania i pożegnania tych wspaniałych terenów przygnębiała chłopca jeszcze bardziej. Był pewien, że na Kabatach, gdzie mieli niebawem zamieszkać, niczego atrakcyjnego nie znajdzie. Do tego wszystkiego drażniła go nieskazitelna biel

koszuli, cisnęły nowe buty, a najgorsze, że wiedział, co go czeka, kiedy tylko przekroczy próg domu. Nie pomylił się.

– O, Janek, dobrze, że jesteś! – zawołała mama na widok syna. – Łap się za torby ze śmieciami. Nie wiem, skąd biorą się te wszystkie rzeczy! Czuje, że dzisiaj znowu zrobimy kilkanaście kursów do śmietnika...

Stojąca w przedpokoju mama miała na sobie oblepiony koci-□mi kłakami stary dres i wyglądała, jakby została wyrwana z jakiegoś transu. Gdzieś za jej plecami, w głębi mieszkania, ojciec z obłędem w oczach miotał się z kolejną partią książek, którą zdjął z regału.

– Zdałeś? – spytała mama, kiedy chłopak sięgnął po dwa czarne worki wypełnione po brzegi tym, co już na pewno nigdy do niczego się nie przyda.

– Zdałem – przytaknął bez uśmiechu.

– Brawo! – zawołał ojciec z drugiego pokoju. – Dzielny syn!

– Zdałeś dobrze, średnio czy przeczłgałeś się do następnej klasy? – spytała czujnie matka.

– Mamo, nie jest źle. Kownacka powiedziała, że gdyby nie ułamki, miałbym czwórkę.

– O!

– A Blekot uznał...

– Kto? – nie zrozumiała mama.

– Blekociński od przyrody... On uznał, że moje postępy w geografii są większe od przyrostu naturalnego w Polsce...

– Aha... – Zmęczona mama z trudem przeanalizowała je-□go słowa. – Ale z tego, co wiem, to nie jest on u nas zbyt wysoki...

– Przecież słyszysz, że zrobił postępy! – wsparł Janka tata.

– W końcu dostałem od Blekota czwórkę. Na zachętę, ponieważ jako jedyny w klasie znałem wzór na amfetaminę.

Po tych słowach w domu zapadła martwa cisza. Mama zaniemówiła, a pan Karski natychmiast pojawił się w drzwiach □pokoju. Książki niebezpiecznie zadrżały w jego dłoniach.

– A ty skąd, przepraszam, znałeś wzór na amfetaminę? – zapytał.

– Dzięki Hitlerowi.

Ta odpowiedź zdecydowanie niczego nie wyjaśniała. Wręcz przeciwnie. Zdezorientowani i zaniepokojeni rodzice wpatrywali się w syna. Co on plecie? Amfetamina? Hitler? Janek westchnął i omiótł wzrokiem gwałtownie pobladłych rodziców.

– Ojej, nie patrzcie tak na mnie. Miałem referat z historii o drugiej wojnie światowej. Przeczytałem gdzieś, że niemieccy żołnierze walczący na froncie wschodnim dostawali amfetaminę, żeby wytrzymać trudy walki. Zresztą sam Hitler też ją brał. W tym artykule był wzór chemiczny i po prostu go zapamiętałem. To wszystko. Nie biorę amfy, jeśli o to wam chodzi.

Na twarzach rodziców pojawiła się ulga, a następnie zmieszanie.

– Nie, no coś ty, nawet nie przyszło nam to do głowy... – powiedziała mama z nieszczerym uśmiechem.

– Właśnie. Jak mogłeś pomyśleć, że my... – plątał się tata.

– Wiecie co? Lepiej będzie, jak już wyjdę z tymi śmieciami...

– Dobrze, idź, idź... – przytaknął ochoczo pan Karski.

Kiedy tylko Janek zniknął za drzwiami, rodzice jak na komendę spojrzeli po sobie.

– Jak mogłeś... – odezwała się pani Karska, spoglądając z wyrzutem na męża.

– Ja? A ty to niby co? Też o tym pomyślałaś... – odparł urażony pan Karski.

– Tylko przez sekundę.

– No widzisz... – Uśmiechnął się triumfalnie.

– Zauważyłeś, że on jest jakiś inny? – mama Janka postanowiła szybko zmienić temat. –

Referat z historii, postępy w geografii... Kiedyś tylko piłka i piłka, a teraz, proszę...

– Teraz też piłka i piłka, ale rzeczywiście, chyba trochę rozruszał sobie szare komórki.

– Szkoda mi go. Gdyby nie ta przeprowadzka, wysłałabym go gdzieś, ale bez jego pomocy nie damy sobie rady z tym wszystkim...

Pani Katarzyna rozejrzała się po mieszkaniu.

– Skąd wzięły się tutaj te rzeczy?

– A kto co sobota jeździł na pchli targ i zwoził stamtąd tysiące fikuśnych rupieci?

– Rupieci? – zaprotestowała pani Karska. – Co nazywasz rupieciami? Żeliwną lampę? Zabytkowy młyn do kawy? Moździerz?

– Nie. Popielniczkę w kształcie mopsa, stare, obgryzione □kufle do piwa... Przecież nie palimy, nie pijemy... I jeszcze te miliony wazoników...

– Teraz przesadziłeś! Rozejrzyj się. Co widzisz? Tu nie ma moich „rupieci”. Całe mieszkanie tonie w książkach, które jak szaleniec od lat zносиł do domu. Czasami po trzy dziennie!

– Och tam, książki to co innego... – Pan Karski postanowił zbagatelizować zarzuty. – Dom bez książek nie ma duszy.

– Ja się tu duszę od tej duszy! – zawołała jego żona dramatycznie.

– Kochanie, właśnie dlatego kupiliśmy większe mieszkanie... – przypomniał jej z polubownym uśmiechem i też szybko zmienił temat. – A wracając do Janka, może zgódźmy się w końcu na przyjazd tego jego kolegi, Kuby? Janek bardzo by się ucieszył...

– Ale masz pomysły... Gość w takim bałaganie? Gdzie miałby niby spać? W tekturowym pudle?

Pan Karski się zamyślił. Dramatyczne pogorszenie warunków mieszkaniowych rzeczywiście wykluczało jakiekolwiek wizyty. A jednak po chwili mężczyzna się rozpogodził.

– Posłuchaj, a gdyby zrobić tak: Janek z Kubą zamieszkają u twojej mamy, a do nas będą wpadać na godzinę lub dwie... Pomogą trochę i potem mogą robić, co chcą.

– Zaprosisz do nas tego chłopca i od razu zagonisz go do roboty? Jesteś łotrem. – Pani Karska się roześmiała.

– Nie, nie... – zaprotestował jej mąż. – Kuba to miły chłopak, na pewno sam zgodziłby się nam pomóc...

– Ten pomysł bez wątpienia ma pewne plusy. – Mama Janka się zamyśliła. – Ale nie wiem, co powie na to moja mama...

– Będzie zachwycona! Janek to jej oczko w głowie! Rozumiem, że się zgadzasz?

Całkowicie już udobruchana, kobieta spojrzała na męża □i powiedziała z uśmiechem:

– Zobaczmy, zobaczymy...

Kilka minut przed dziesiątą Janek i Kuba zjawili się na biegnącej łukiem ulicy Mochnackiego, przy której siedzibę miała firma komputerowa Piotra Wysockiego. Janek wątpił, czy ta wizyta przyniesie jakieś rewelacje, ale wcale się tym nie martwił. Odwiedziny w firmie wujka zawsze przebiegały w wesołej atmosferze. Młodzi komputerowcy nie stronili od żartów, a sam Piotr należał do kawalarzy i, zdaniem Janka, mimo kierowania poważną firmą nie zatracił luzackiego, swobodnego sposobu bycia.

Kuba wchodził po schodach, czując na sobie rozbawiony wzrok Janka, który przez całą drogę pokpiwał z jego przeczuć i podejrzeń.

– Kuba, Warszawa to nie Kazimierz Dolny. To miasto nie ma atmosfery – przekonywał Janek, kiedy jechali autobusem. – Myślisz, że nie chciałbym, aby coś tu się działo? Niestety, jedyna przygoda, jaka może się nam przydarzyć, to ganiecie się ze strażnikiem po parku.

– Ty chyba mylisz siebie ze mną. Nie szukam przygody. Po prostu zawsze próbuję wyjaśnić coś, czego nie rozumiem – odpowiedział mu wtedy Kuba.

Stanęli przed brązowymi drzwiami z chromowaną tabliczką Colos-EUM i Janek nacisnął przycisk dzwonka. Usłyszeli szmer, a po chwili na progu biura stanął szczupły, wysoki blondyn w okrągłych, drucianych okularach i z włosami związanymi w kucyk, ubrany był w luźną, białą koszulkę i wytarte, niebieskie dżinsy. Był to Kamil Górski zwany Mózgiem, prawa ręka Piotra Wysockiego i specjalista od spraw najtrudniejszych, takich jak odzyskiwanie danych z zatopionych laptopów lub komputerów uszkodzonych w inny sposób. Kamil uśmiechnął się na widok Janka.

– Cześć, Janek! Co tu robisz? Problemy z kompem?

– Nie, mój kumpel Kuba chciałby kupić nową klawiaturę – odpowiedział bez mrugnięcia okiem. – Pomyślałem, że może macie tu jakąś na zbyciu.

– Musiałbyś spytać Piotra, ale on wyszedł na chwilę do sklepu. Zaraz powinien wrócić.

– Jesteś sam? A gdzie reszta chłopaków? – spytał zdziwiony Janek.

Przyzwyczał się, że w firmie Piotra zazwyczaj wrze jak w ulu.

– Wojtek i Grzesiek wzięli sobie wolne, mieliśmy ostatnio strasznie dużo roboty. Zostawię was teraz, muszę skończyć reanimować jakiegoś firmowego laptopa. Facet przewrócił na niego szafę.

Kamil machnął przyjaźnie ręką i zniknął w drugim pokoju. Kuba się rozejrzał. W pokoju stały dwa biurka i kilka regałów wypełnionych kartonowymi pudłami. W większych znajdowały się nowe monitory, a w mniejszych niezbędne akcesoria: płyty główne, dyski, modemy i mnóstwo innych drobnych części. Na podłodze stały trzy nowe komputery zapakowane w firmowy papier Colos-EUM.

– Co robimy? – spytał cicho Janek.

– Na razie czekamy – odparł Kuba i usiadł przy biurku.

– Rany – jęknął. – Z tobą jest coraz gorzej! Stałeś się tak poważny, że aż się słabo robi. Od tej powagi wyłysiejesz na czubku głowy. Niedługo będziesz wyglądał jak mój historyk. A to jest paskudny widok, zapewniam.

Kuba się roześmiał. Janek miał trochę racji. Wyglądał komicznie z tą swoją poważną miną. Chyba rzeczywiście myślał zdecydowanie za dużo. Czy nie lepiej, gdyby pod okiem przyjaciela popracował nad swoją kondycją? Cherlawi matematycy stanowili żalosny widok. A młodociani, cherlawi matematycy mieli już zupełnie przechłapane. Może faktycznie w tym wielkim mieście nie warto szukać niczego niezwykłego?

– Dobrze, poddaję się – powiedział z uśmiechem. – Policzymy do dziesięciu i jeśli twój wujek się nie pojawi, weźmiemy rowery i pojedziemy na Agrykolę.

– No, wreszcie mówisz, jak człowiek. – Janek odetchnął z ulgą.

Nim jednak rozpoczęli odliczanie, rozległ się dzwonek do drzwi.

– Możecie otworzyć?! – usłyszeli wołanie Kamila.

Janek jednym skokiem znalazł się przy drzwiach. Spodziewał się zobaczyć Piotra, ale na progu stał pięćdziesięcioletni, masywny mężczyzna w szarej, przybrudzonej koszuli. On również wyglądał na zaskoczonego widokiem Janka.

– Ja do Piotra Wysockiego – rzekł.

– Zaraz powinien przyjść, proszę wejść. – Janek wskazał mężczyźnie obrotowe krzesło przy biurku.

Nowo przybyły usiadł i natychmiast wyjął z kieszeni chusteczkę, równie przybrudzoną jak koszula. Przetarł nią spocone czoło.

– Co za upał – poskarżył się zmęczonym głosem. – Czy jest ktoś tutaj oprócz was?

– Kamil! Przyszedł jakiś pan! – zawołał Janek.

Szurnęło krzesło i po chwili głowa informatyka wychyliła się z sąsiedniego pokoju.

– Aaa, to pan, panie Wiesławie. Proszę chwilę poczekać. Piotr skoczył tylko do sklepu, zaraz będzie.

To powiedziawszy, ponownie zniknął w drugim pokoju. Pan Wiesław obrzucił chłopców

ważnym spojrzeniem i ponownie przetarł chusteczką czoło i kark. Na jego twarzy pojawił się domyślny uśmiech.

– Wy pewnie po jakiś nowy komputer, co? Taki do tych waszych gier?

– Nie, komputer mamy. Przyszliśmy po klawiaturę – wyjaśnił Janek.

– No tak, tak – zareagował mężczyzna mechanicznie, jakby właściwie nie obchodziło go, jaką usłyszy odpowiedź, i nagle westchnął. – Takie jest to życie...

Chłopcy spojrzeli po sobie. Ludzie pochłonięci własnymi problemami zachowywali się jak lunatycy. Obaj zdążyli już zauważyć, że dorosłym zdarzało się to nader często.

– A pan przyszedł w sprawie swojego komputera? Jakaś awaria? – zapytał Janek z uprzejmym zainteresowaniem.

– Nie, chłopcze. Ja jestem kierowcą. Nie mam czasu na te nowoczesne zabawki.

Chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył. Do firmy wszedł Piotr z torbami pełnymi zakupów. Widząc czekających na niego gości, zatrzymał się w progu zdziwiony.

– No, coś podobnego. Człowiekzejdzie na chwilę do sklepu, a tu zaraz tłumy!

Chwilę potem jego twarz rozjaśnił radosny uśmiech.

– Cześć, chłopcy! Dzień dobry, panie Wiesławie.

Kierowca natychmiast podniósł się z krzesła. Schował chusteczkę do kieszeni i chrząknął.

– Ja w sprawie rozliczenia za ostatni kurs.

– Tak, tak, pamiętam. Chwileczkę, tylko zaniósę zakupy do kuchni.

Kiedy Piotr zniknął w aneksie kuchennym, Kuba spojrzął na tęgiego kierowcę. Był zdenerwowany. Próbował to ukryć, ale raczej z marnym skutkiem. Po kilkunastu sekundach Piotr ponownie pojawił się w pokoju. Podszedł do Janka i zmierzył mu włosy, Kubie podał dłoń z serdecznym uśmiechem.

– Fajnie, że wpadliście. Zaraz się wami zajmę – obiecał chłopcom, a następnie zwrócił się do kierowcy. – No, co tam, panie Wiesławie. Ma pan dla mnie fakturę?

– Tak, tak, oczywiście...

Mężczyzna wyjął z kieszeni zmiętą nieco kartkę papieru i podał ją szefowi Colos-EUM. Piotr sięgnął po leżący na biurku długopis.

– Jeszcze jedno, panie Piotrze... – zaczął mężczyzna niepewnie i przerwał, szukając prawdopodobnie odpowiednich słów.

– Tak? – spytał Piotr, podpisując fakturę.

– Niestety nie mogę już dla pana jeździć.

Piotr Wysocki wyglądał na zaskoczonego tym oświadczeniem.

– Jak to? Dlaczego?

– Chodzi o to, że mam teraz dużo zleceń. Nie wyrobię się – tłumaczył kierowca i uśmiechnął się przepraszająco. – Żona mi kołki na głowie ciosa, że wiecznie nie ma mnie w domu.

– Rozumiem... No, szkoda. Tym bardziej że nasza firma się rozrasta. Myślałem, że niedługo zatrudnię pana u nas na stałe. Na pełnym etacie.

Chłopcy spojrzeli na wyraźnie speszzonego sytuacją mężczyznę. Oferta Piotra była bardzo zachęcająca. Nawet kilkunastoletni chłopcy wiedzieli jak bardzo. Pan Wiesław musiał myśleć podobnie, bo na moment się zawahał. Jednak jego niezdecydowanie nie trwało długo.

– Bardzo dziękuję i przepraszam, ale ja chyba wolę być takim... wolnym strzelcem.

– Cóż, trudno. To ja nie mam już argumentów – powiedział nieco rozbawiony Piotr. – Życzę powodzenia i dziękuję za współpracę.

Podał kierowcy dłoń. Mężczyzna oddał uścisk z wyraźną ulgą. Przykrą rozmowę miał już za sobą. Ukłonił się i ruszył do wyjścia.

– Chwileczkę! – zawołał za nim Piotr.

Kierowca odwrócił się zaskoczony.

– Zapomniał pan o fakturze – wyjaśnił z uśmiechem wujek Janka.

– Och! Gdzie ja mam głowę. To przez ten upał!

Piotr podał mężczyźnie fakturę, a pan Wiesław ponownie się skłonił i szybko opuścił siedzibę firmy. Wujek Janka zrobił krok w stronę sąsiedniego pokoju i zawołał:

– Krajewski nie będzie już z nami jeździł, trzeba poszukać kogoś nowego!

– Kierowców nie brakuje, na pewno kogoś znajdziemy! – ☐odkrzyknął Kamil.

Piotr pokiwał głową i spojrzał na chłopców.

– Widzicie? I tak mniej więcej wygląda moja praca. Papierki, faktury, formalności. Już nie pamiętam, że chciałem być kiedyś podróżnikiem.

– A chciałeś? – spytał zaskoczony Janek.

Wujek nigdy mu o tym nie mówił.

– Jasne. Byłem wtedy trochę młodszy niż wy teraz. Jednak któregoś dnia zobaczyłem w telewizji program o komputerach i za wszelką cenę postanowiłem dowiedzieć się, co siedzi w środku tego magicznego pudełka. Marzenia o podróżach wyparowały. Poszedłem na informatykę – wyjaśnił Piotr, chowając kopię faktury do żółtego segregatora.

Kuba spojrzał na niego z pełnym zrozumieniem. Dobrze rozumiał ludzi kierujących się w życiu dociekliwością.

– Czy zawartość pudełka okazała się warta porzucenia marzeń? – zagadnął z uśmiechem.

Piotra zaskoczyło pytanie chłopaka. Chyba nie spodziewał się, że może paść z ust czternastolatka.

– Tak naprawdę nic nie jest warte porzucenia marzeń – odpowiedział z powagą.

– A rodzina, drogi wujku? – rzucił Janek żartobliwym tonem i przekornie przekrzywił głowę.

– Janek! Ty mnie nie wkurzaj! – Piotr wybuchnął śmiechem. – Powiedźcie lepiej, co was do mnie sprowadza.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Sprowadzała ich tajemnica porannego telefonu. Ale przecież nie mogli powiedzieć tego wprost.

– Kuba chciałby kupić nową klawiaturę. Jakąś dobrą i nowoczesną.

Piotr spojrzał na regały zastawione pudełkami.

– Jak na złość w tej chwili nie mamy ani jednej. Ale gdybyś wpadł jutro albo pojutrze... Jeszcze nie wyjeżdżasz?

– Nie, nie. To nie jest zresztą aż tak pilne – odparł Kuba. – ☐I tak nie mam tu swojego komputera.

Jak by spytać o wczorajsze zdarzenie? I kiedy on szukał w głowie jakiegoś inteligentnego zagajenia, Janek zrobił to w najprostszy możliwy sposób:

– Złapałeś go już?

– Kogo? – nie zrozumiał.

– Dowcipnisia, który dzwonił do ciebie.

– Aaa, tego... Nie. Nadal nie wiem, kto to był. Dziwna sprawa.

Janek wiedział, że Kuba, który w niektórych sytuacjach sam przypominał komputer, potrzebował sporo danych, aby je potem w spokoju przetworzyć, uporządkować, poddać analizie i w końcu wyciągnąć wnioski.

– Nie poznałeś go po głosie? – dopytywał Janek.

– Nie. Z całą pewnością nigdy wcześniej go nie słyszałem – odrzekł zdecydowanie Piotr.

– A próbował pan sprawdzić numer dzwoniącego? – wtrącił się Kuba.

– Jasne. Ale dzwonił z telefonu na kartę. Wyrzucił ją pewnie zaraz po naszej rozmowie.

Janek pokręcił głową z niedowierzaniem i spojrzał na przyjaciela. O co jeszcze spytać? Przecież to wyglądało na dowcip jakiegoś głupka. W dodatku niezbyt śmieszny.

– Co to był za dzień? – spytał Kuba i zaraz dodał: – Czy różnił się w jakiś sposób od innych?

Piotr uśmiechnął się pod nosem. Komiczne! Ten szczupły, ciemnowłosy chłopak w okularach najwyraźniej bawił się w detektywa. Było w nim jednak coś, co powstrzymało Piotra od żartobliwego komentarza. Niepozorny wygląd Kubę kontrastował z jego pełnymi namysłu wypowiedziami i uważnym, przenikliwym spojrzeniem.

– Czy czymś się różnił? – Wujek Janka zamyślił się, a potem wzruszył ramionami. – Nie sądzę. Dzień jak co dzień. Nie działo się nic nadzwyczajnego. My tu składamy komputery i zawozimy je do klientów. Wtedy też tak było.

Jankowi przyszło do głowy, że chyba nie chciałby pracować tak jak wujek. Każdy dzień podobny do drugiego, w zasięgu wzroku wciąż te same przedmioty – klawiatury, procesory, monitory... Fajniej zostać podróżnikiem.

– Czyli ten ktoś zadzwonił wtedy, kiedy jechał pan do klienta? – upewnił się Kuba.

– Tak. Wsiadłem, kazałem kierowcy ruszać dalej, a sam pobiegłem do parku. Ale nie przejmujcie się tak tym zdarzeniem – zaśmiał się Piotr. – Już się przyzwyczailem, że ludziom strzelają do głowy dziwne pomysły. A teraz was pogonię! Świetnie się z wami gada, ale...

– Nie, no pewnie! Masz pracę! – zawołał nieco zmieszany Janek. – My już lecimy, prawda, Kuba?

– Tak. I życzymy, aby namierzył pan tego typka – dodał jego przyjaciel.

Piotr westchnął i machnął ręką.

– E, szkoda czasu. Prawie o tym zapomniałem.

Chłopcy w milczeniu zeszli po schodach. Na zewnątrz oślepiły ich silne promienie południowego słońca. Dzień był wyjątkowo upalny. W starej, przedwojennej kamienicy zupełnie tego nie czuli. Zdaniem Janka wizyta zakończyła się, jak przewidywał: niczego specjalnego się nie dowiedzieli.

– Widzisz? Mówiłem, że nic z tego nie będzie? – zwrócił się do Kubby z satysfakcją, kiedy ruszyli w stronę ulicy Filtrowej.

Kuba się zamyślił. Szedł z lekko pochyloną głową, jakby w równo ułożonych płytach chodnikowych chciał znaleźć odpowiedź na nurtujące go pytania. Dopiero kiedy dotarli do Filtrowej, spojrzał na przyjaciela.

– Wcześniej miałem tylko przeczucia... Teraz jestem pewny.

– Czego?

– Ten telefon był częścią jakiegoś planu.

W pierwszej chwili Janek uznał, że się przestyszał. W drugiej, że od tego ciągłego myślenia kumpel postradał zmysły. Zanim jednak zdołał skomentować słowa Kubby, ten odezwał się spokojnym głosem:

– To nie był żart, tylko element czyjejś strategii. Komuś zależało na tym, aby o określonej godzinie twój wujek znalazł się w parku. Ten telefon był jak husarska kopia – miał tylko odwrócić jego uwagę. Nie wiem na razie po co i dlaczego, ale chętnie się dowiem.

Więcej www.naszaksiegarnia.pl